

Władysław Terlecki

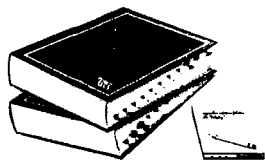
Brulion

Palestra 38/5-6(437-438), 93-95

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Władysława TERLECKIEGO BRULION

Ten uważnie obserwujący otoczenie pan pojawił się w Warszawie zaopatrzony w szczególne pełnomocnictwa. Pozostawił dzieło niezwykle i może dlatego warto go przywołać z oddalenia.

Myśląc o tamtych czasach przywykliśmy sądzić, że wróg nie grzeszył nadmierną mądrością i że ulegliśmy przewadze, bo byliśmy słabsi militarnie. Ponieważ zdradzili nas tradycyjni zachodni sojusznicy i wreszcie – twierdzimy – ponieśliśmy klęskę wskutek własnych narodowych przywar. Zaborca zaś posiadający ową wojskową przewagę jawi się nam jako przeciwnik zasługujący na to, aby go ośmieszyć i poniżyć. Wiedzieliśmy więc, że był przekupny, ograniczony, pozbawiony zasad i kultury. Ten obraz prostaka na długo, niestety, przylgnął do naszej wizji dziejów.

Ów pan, który przed ponad stu laty pojawił się w Warszawie, musiał być świadomy tak dla niego zabawnej polskiej megalomanii.

A czas był wówczas w Warszawie burzliwy. Zaczynał się nowy bunt. Tajne organizacje gotowały się do zbrojnego wybuchu. Zanim jednak do niego doszło, scena polityczna zaroiła się licznymi, wcześniej nie znanymi postaciami. Przybyły z Petersburga młody mężczyzna przyglądał się zatem uważnie tej scenie. Wielu bohaterów, tych przynajmniej, których działalności nie kryła konspiracja, musiał oglądać na własne oczy. Tym bardziej że udostępniono

mu dotarcie do najważniejszych urzędów w Warszawie. Widywał więc zapewne żółty powóz margrabiego Wielopolskiego, który gnał ulicami Warszawy w towarzystwie kozackiej ochrony. Spotykał odwiedzającego belwederskie gabinety dumnego pana Andrzeja, o którym członkowie rosyjskiej kolonii w Warszawie mówili kpiąco, że nadałby się na króla polskiego, gdyby nie to, że żaden król polski nie był nikomu potrzebny, no, może z wyjątkiem kilku entuzjastów odwiedzających go w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu. W kościołach zaś mógł się natknąć na duchownych *nolens volens* wciągniętych w toczącą się rozgrywkę polityczną. Znał być może barona Kronenberga, który obok spraw majątkowych załatwiał także interesy polityczne. Jeśli bywał w lokalach publicznych, gdzie zbierała się ówczesna elita dziennikarska, musiał natknąć się także na Józefa Ignacego Kraszewskiego, który oddawał się swoim politycznym pasjom z takim samym zacięciem, z jakim podziwiał w teatrze urodę warszawskich aktorek.

To wszystko byli żywi ludzie, którym przybyły z Petersburga przyszedł profesor historii Mikołaj Berg przyglądał się z uwagą rosyjskiego badacza. Ale wtedy nie było jeszcze katedry historii ani jego wykładów. Młody mężczyzna otrzymał od swoich przełożonych w Petersburgu polecenie spisywania na żywo przebiegu przygotowywanego w Warszawie powstania. Zaopatrzono

go więc w najwyższe plenipotencje. Miał dostęp do wszystkich – a więc także śledczych i sądowych – akt związanych z funkcjonowaniem rosyjskiego imperium na ziemiach polskich. Miał to wszystko z bliska obserwować i obserwacje swoje notować następnie w obszernie udokumentowanym dziele. Urzędem warszawskim polecono pomagać młodemu uczoneму w jego pracy.

Takich zadań nie stawiają ludzie krótkowzroczni. Przyszły profesor historii miał przygotować wszechstronny i dokładnie udokumentowany materiał źródłowy. Dokument ów stać się miał w przyszłości podstawą poznania prawdy o przyczynach i przebiegu polskiego buntu. Wykonał powierzone zadanie z godną podziwu rzetelnością. Bez z góry narzuconego porządku, w którym podział na przestępców i sędziów przesądzać miał każdy moralny wyrok.

Mikołaj Berg opisywał więc przebieg dramatycznych wydarzeń utrwalając portrety ludzi, którzy w te wydarzenia zostali uwikłani. Pokazał, jak dochodzi do wybuchu i jak potem wybuch ten zostaje krwawo zdławiony. Postanowił przy tym być świadkiem obiektywnym. Dziś, po latach, kiedy czyta się to dzieło noszące tytuł *Zapiski o polskich spis-kach i powstaniach* ów ton spokojnego, rzeczowego obiektywizmu budzi u czytelnika podziw.

Berg starannie rozważa wszelkie poznawane fakty. Przeciwnik nie jest dla niego tylko głupcem lub szaleńcem. Choć sam wybuch powstania musiał mu się zapewne wydać działaniem pozbawionym wszelkiego – poza wymiarem moralnym – sensu. Opisuje błędy

i przestępstwa swoich rodaków z równą dociekliwością, z jaką przedstawia losy polskich powstańców. Jego praca ma służyć utrwaleniu prawdy.

Już w tej postawie rzeczowości i wierności wobec poznawanych faktów tkwi coś z moralnego wyboru, jakiego Mikołaj Berg dokonywał na własny użytek. Po latach jego praca staje się nieocenionym źródłem wiedzy dla innych badaczy. Ale jest ona także fenomenalnym dokumentem prawdy o autorze. Ten rzeczowy i uczciwy obserwator po dwudziestu latach od upadku powstania, pisząc posłowie do drugiego wydania swego dzieła, notuje w *Epilogu* takie zdanie: *Na zakończenie nie od rzeczy będzie wypowiedzieć słów kilka o skutkach wywołanych przez ostatnie powstanie, tak dobrze dla Rosji jak dla samych Polaków. Mimo woli ciśnie się pod pióro wiersz Gribojedowa: „Pożar jej bardzo pomógł do upiększenia”. Żaden z polskich rewolucyjnych pożarów nie sprowadził tak radykalnych zmian w Polsce i w Rosji, w różnych kierunkach państwowego i społecznego bytu; żadne powstanie nie wytrzeźwiło tak Rosjan i nie dało im poznać tak dokładnie polskiej historii... A teraz kilka słów o Polakach. Czy opamiętał ich choć w czymkolwiek ostatni, a tak pełen klęsk i straszliwych następstw, poryw? Czy przekonał ich, że Polska nie jest w stanie walczyć z Rosją? Że w walce tej musi ostatecznie ulec! Czy otwały im się oczy na nieszczerłość i zwodniczość ich zachodnich sojuszników i opiekunów? Czy uległy jakiejś zmianie ich porozbiorowe aspiracje polityczne? Niestety, musimy wyznać, że nic się nie zmieniło!*

A jak Rosja ma przyjmować te oświadczenia przyjaźni i wierności, te objawy

jakoby żalu i skruchy za grzechy przeszłości, te zapewnienia, że się one już więcej nie powtórzą?

Jak?

Nie wierzyć im!

Takie same zapewnienia i żale były wynurzane i po dawniejszych polskich powstaniach. Obecnie powtarza się dawna piosenka, śpiewana na inną nutę.

Polacy, czy to w Królestwie Polskim, czy na Litwie i Rusi, nie przestaną nigdy być Polakami, takimi jakich widziało ich już kilka rosyjskich pokoleń. Zawsze oni w głębi swych serc żywić będą te same nadzieje, te same marzenia i nie pozbędą się swej nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie. I jak ich przodkowie, tak i następne pokolenia nie dadzą się wyleczyć żadnymi zawodami i klęskami, żadną niesumiennością zachodniej polityki, żadnymi konfiskatami majątków, wieszaniami i zsyłkami na Sybir. Takie jest najgłębsze nasze przekonanie.

Przy zmianie stosunków w Rosji można nimi lepiej rządzić. Można ostatecznie osiągnąć, że przestaną uważać Ros-

jan za Mongołów i barbarzyńców, za swego pierwszego i głównego wroga. Lecz w zupełności ich zadowolić jest dla Rosji niepodobieństwem. Jest to tak samo próżne marzenie, jak zlanie się Polski i Rosji w jeden bratni naród.

Nowa Rosja, jakkolwiek ustrój przybierze, pozostanie dla Polaków tym, czym była dawna i terazniejsza: nieublaganym wrogiem. Będzie tak samo gnębić ich i poskramiać bez litości. Pozbądźmy się marzeń!

Na ogromnych przestrzeniach między Bałtykiem a Czarnym Morzem, między Uralem a Zachodnią Europą, dwóch panów być nie może! Rosja lub Polska musi wyłącznie rządzić i gospodarzyć.

My, albo oni! Innego rozwiązania kwestii polskiej nie ma i być nie może.

Wczytajmy się uważnie w te słowa rosyjskiego liberała sprzed stu lat. Kiedy koło Cytadeli Aleksandryjskiej uda się nam zobaczyć oczyma wyobraźni jego przemykający cień – wsłuchajmy się w żywe dzisiejsze głosy... I w ten sam wilczy skowyt.